

Ewa Pobłocka

DZIENNIKI JAPOŃSKIE (5)

30 GRUDNIA

Zbliżał się dzień wylotu do Polski na Święta Bożego Narodzenia. Szczęśliwie nie musiałam zabierać z Tokio całego bagażu, wzięłam tylko jedną walizkę, prawie w całości wypełnioną prezentami. Tym razem, podobnie jak w listopadzie podczas podróży do Pekinu, postanowiłam dać sobie radę sama w drodze na lotnisko. Pojechałam rano, wyjątkowo wcześnie, mając zapas czasu na zakupy w *duty free* i jakieś nieprzewidziane zajścia. Kiedy dotarłam na lotnisko, zerknęłam na tablice odlotów – tylko niechący, będąc pewna, że wszystko jest w porządku – i dopiero po chwili dotarło do mnie, że mój samolot do Amsterdamu jest opóźniony o sześć godzin... Trzeba było stanąć w długiej kolejce i zasięgnąć informacji, co dalej. Po ponad dwugodzinnym oczekiwaniu (na stojąco oczywiście) dowiedziałam się, że zostanę przebukowana na lot do Paryża, ponieważ w tej nowej sytuacji w Amsterdamie już nie zdążyłabym na lot do Warszawy. Cóż było robić... Nawet nie mogłam oddać bagażu, bo stanowisko Air France miało być zamknięte jeszcze przez długi okres czasu. Samolot do Paryża odlatywał za dziesięć godzin... Nie pocieszała mnie ani piękna choinka w hali lotniska, pod którą japońskie rodziny robiły sobie zdjęcia, ani to, że przecież lotnisko w Tokio jest przestronne i jasne, ani to, że napije się dobrej kawy z nieodłącznym w Japonii sernikiem (Uwielbiam! Pieczony chyba z serka Philadelphia), ani to, że spokojnie jeszcze zrobię zakupy... Przedemną widmo niekończącej się podróży. Co chwilę z ekranów dochodziły informacje o kolejnych opóźnionych lotach z Europy. Opady śniegu krzyżowały plany. Snułam się zatem po Narita, myśląc o tym, że skracam swój i tak krótki pobyt w Polsce o kilkanaście godzin.

Wreszcie nadszedł wieczór, przynajmniej pozbyłam się bagażu i spokojnie za jakiś czas podreptałam do pełnienińskiego samolotu. Na szczęście udało się zarezerwować miejsce przy przejściu, więc nie czułam się tak bardzo skrępowana. O dziwo w tej podróży nawet trochę pospałam, napiwszy się czerwonego wina i obejrawszy jakiś film. Po ponad dwunastu godzinach lotu, około czwartej nad ranem czasu europejskiego, wylądowaliśmy w Paryżu. Jeszcze nic nie zapowiadało mającego nadejść horroru... Owszem, lotnisko wyglądało wyjątkowo pięknie, lekko przyprószone śniegiem. Ale okazało się, że to, co dla mnie wyglądało na lekki śnieżek, dla Francuzów, a zwłaszcza dla służb lotniska, było klęską. Jeszcze nie przewidując niczego, weszłam do barku, pustawego o tak wczesnej porze, na kawę. Potem pokręciłam się trochę bez sensu, siadając do komputera (działały tylko dwa na dużym terminalu)... Wreszcie otwarto pierwsze sklepy, kupiłam jakieś kosmetyki – ciąg dalszy prezentów gwiazdkowych – i ulubione „makaroniki” – zwłaszcza te o smaku róży i fig są rewelacyjne. Trzeba dodać, że również rewelacyjna jest ich cena, typowo lotniskowa. Wreszcie, minawszy wszystkie punkty *security*, dotarłam do bramki. Oczywiście nie było mowy o tym, żeby znaleźć miejsce. Tłumek pasażerów gęstniał. Gęstniał też śnieg za oknami, ale bez przesady – nie było ani zamieci, ani jakichś nadzwyczajnych opadów. Taka normalna zima. Wokół kantorku obsługi Air France zaczęła się krzątanina. Po chwili niesympatyczna panienska, niesympatycznym głosem, zupełnie beznamyślnie poinformowała podróżujących do Warszawy, że samolot w dniu dzisiejszym został ODWOŁANY!!! Żeby choć opóźniony, nawet wiele godzin, ale nie, właśnie odwołany, definitywnie i bez żadnej nadziei. W pierwszej chwili pomyślałam: cóż, latam tyle lat, a tylko raz miałam taką przygodę.

Był rok chyba 1972. Wracałam z rodzicami z pierwszej zagranicznej podróży koncertowej z ówczesnego ZSRR. Samolot z Moskwy do Warszawy z powodu pogody zmienił kurs i wylądował w... Bratysławie. Tam czekały atrakcje w postaci czeskiego piwa i knedliczków, a w towarzystwie rodziców było miło i bezpiecznie. Czekaliśmy kilka godzin. W końcu wystartowaliśmy... Niedługo po tym, jak skończono podawać posiłek, informacja od pilota – Warszawa nie przyjmuje, lecimy do Berlina (NRD). Chyba byliśmy już trochę zmęczeni (w Moskwie droga na lotnisko samochodem służbowym Goskoncertu trwała długo, więc wstaliśmy bardzo wcześnie). W NRD jednak wszystko było dobrze zorganizowane – w bufecie jakieś soki, parówki na gorąco, prasa. Towarzystwo jakby ciut elegantsze, między innymi nasz wybitny dyrygent Henryk Czyż z małżonką, z bukietami kwiatów, widać wracali po koncercie. Wreszcie samolot wystartował i za godzinkę już lądowaliśmy w Warszawie, głuchą nocą. Tata jak zwykle wykazał się przedsiębiorczością i za cenę uśmiechu oraz rosyjskich czekoladek cudem załatwił nam w Warszawie hotel....

O tym przypomniałam sobie w pierwszej chwili, usłyszawszy, że lot z Paryża do Warszawy odwołany. A nas podróżnych poinformowano, że mamy udać się po swoje bagaże nadane w miejscu wylotu i z nimi już stanąć w kolejce, aby zabukować się na kolejny, mający nastąpić w zupełnie nieokreślonej czasowo przyszłości lot do Warszawy. Ale odebrać bagaż – to wcale nie było proste. Trzeba było najpierw odstać swoje w kolejce po „kwitek”, dzięki któremu wpuszczono mnie z powrotem do hali przylotów, a konkretnie do miejsca, gdzie z taśmy odbiera się bagaż. Jakże szczęśliwa byłam, widząc swoją walizkę w stanie nienaruszonym! Kilka już razy w życiu zgubiłam bagaż na lotnisku i wiem, ile jest przebojów z odzyskaniem go. Teraz więc „uzbrojona” w dużą walizkę, małą walizeczkę podręczną oraz kilka toreb z *duty free* tokijskiego i paryskiego stanęłam w następnej kolejce. Tłum na lotnisku gęstniał... Było bardzo zimno, bo kolejka uformowała się obok drzwi wejściowych, więc wiało, a ja w cienkich butach, bo przecież w TOKIO ŻADNEGO ŚNIEGU, temperatury powyżej zera, któż mógł przewidzieć przystanek w zaśnieżonym Paryżu. Więc stoję i stoję w tej kolejce, obserwując tłum. Niektórzy stali cicho, spokojnie, inni się złościli – na pogodę, na podróżowanie w ogóle, na obsługę lotniska (słusznie!), inni kombinowali, och jak kombinowali, żeby choć kilka osób przeskoczyć. Kolejka liczyła może ze stu–dwustu ludzi, ale obsługiwano wszystkich tak leniwie (robiąc nawet przerwę na *déjeuner*), że dotarłam do okienka po... trzech godzinach. A ileż razy w tym czasie buntowałam się w duchu, że jak to, ja, która nigdy, przenigdy w kolejkach nie stałam... (nawet do sklepu, gdzie była kolekcja Hoff – dla młodych pańienek. Wolałam stare dzinsy, niż tracić czas, przymierzać itp.). Przemiała mulatka z Air France poinformowała mnie, że wprawdzie samolot innych linii lotniczych do Warszawy jeszcze nie odleciał, ale ona nie może mnie wpisać na listę pasażerów. Myślałam, że się rozbeczę... Miałam tego wieczoru piec z dziewczynkami pierwszy piernik i przygotować wszystko na pasztet. Następnego dnia kolejne wypieki, planowany wyjazd z prowiantem do rodziców do Oliwy, wszystko to zaczynało się rozmywać w czasie... Naiwnie zapytałam: „To co mam teraz robić?”, a pani na to: „Proszę spróbować w innej kolejce, na innym poziomie lotniska”... Tamtą kolejkę widziałam już kilka godzin wcześniej, wtedy było w niej kilka tysięcy osób. Beznadzieja!!! Nawet nie było wiadomo, gdzie się zaczynała, a gdzie właściwie kończyła. Uznałam, że i tak nic nie załatwię, tylko co robić dalej...

Nagle olśniła mnie myśl – hotel. Przecież jest na lotnisku. Pamiętałam nawet, że Sheraton. Z błyskiem nadziei wzięłam swoją dużą walizkę, małą walizkę, torebki z *duty free*, płaszcz i szal (zrobiło się nieznośnie gorąco) i udałam się w kierunku Sheratonu, szukając dla siebie usprawiedliwienia, jeśli się okaże, że na nocleg trzeba wydać górę pieniędzy. Zupelnym drobiazgiem w tym wszystkim były schody ruchome, które nie były przyjazne, kiedy miało się obie ręce i ramiona zajęte. Torując sobie drogę pomiędzy tłumami pasażerów koczujących na lotnisku i dworcu kolejowym, dotarłam do hotelu. A tam... Kolejka do restauracji (po chwili na niej stanęłam, ale jednak jakaś дума nie pozwoliła mi wytrwać do francuskiej zupy i innych proponowanych w karcie dań – skończyło się kanapką i kawą w pewnej w miarę dostępnej piekarni). W recepcji pani nawet nie starała się być miłą, poinformowała, że miejsc nie ma i podała mi kartkę A4 z wydrukowanymi adresami i numerami telefonów okolicznych hoteli. „Proszę zadzwonić, z pewnością pani się dowie, gdzie są wolne miejsca”. Boy hotelowy nawet wskazał mi kabinę telefoniczną, ale przecież nie miałam karty francuskiej, a to był automat bez monet. Wysłałam wściekła. Jeszcze stać mnie było na to uczucie, bo za godzinę już się poddałam.

Chciałam usiąść i popłakać się z bezradności. Błąkałam się jakiś czas, zupełnie nie znajdując wyjścia z sytuacji. Śnieg już prawie stopniał, a lotnisko stało sparaliżowane. Oczywiście, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, komórka mi się rozładowała, dostępu do komputera nie było, naprawdę nie miałam pojęcia, co robić. Wiedziałam tylko, że w żadnej kolejce już stać nie będę i że jednak chciałabym dostać się do Warszawy przed świętami, po to przecież leciałam taki kawał drogi, żeby w święta być w domu. Następnego dnia Marysia – córka, wiolonczelistka – miała grać w Sali Filharmonii Narodowej. Obiecałam, że będę. Już słyszałam, jak mówi z wyrzutem: „Znowu cię nie było...”. Zebrałam więc kolejny raz swoje manatki i ruszyłam w stronę terminalu lotniska, właściwie zupełnie bez celu. Przejechałam się po raz kolejny ruchomymi schodami, stwierdziłam, że znowu przybyło podróżnych i że oprócz nich na lotnisku szukało miejsca do odpoczynku kilkunastu kloszardów, których pewnie śnieg tu sprowadził. O miejscu siedzącym nie było mowy. Wejścia do nielicznych barków były zablokowane, jedyna bodaj restauracja wręcz miała drzwi od środka zabarykadowane. I już chciałam usiąść na posadzce i zrezygnować z wszelkich starań. Chciałam tylko zasnąć. Za mną przecież był dzień na lotnisku w Tokio, nocny lot do Paryża i już ponad dwanaście godzin krążenia po kolejnym lotnisku. Nagle jakaś przytomna myśl się pojawiła... Zadzwonię do domu, może przynajmniej mnie pocieszą... Ale najpierw trzeba było znaleźć ichni kiosk ruchu, gdzie może są karty telefoniczne. Przypomniałam sobie, że widziałam taki z zupełnie innej strony lotniska, więc ponowiłam marsz z coraz cięższą walizką, walizeczką i torbami. Miałam ochotę to wszystko zostawić na środku hali i wybiec dokądkolwiek. W nagrodę za swój trud, kupując kartę telefoniczną, kupiłam także ulubioną czekoladę z nadzieniem nugatowym.

Wreszcie dzwonię. Oczywiście domownicy byli uprzedzeni przeze mnie o możliwościach opóźnień mojego powrotu, bo przytomnie wysłałam wiadomości jeszcze z lotniska w Tokio, korzystając z publicznego komputera. Uznaliśmy wspólnie, że sytuacja jest beznadziejna, że śnieg zupełnie nie wiedział, kiedy ma spaść, że Francuzi zupełnie nie radzą sobie z ruchem przedświątecznym i że już może dość podróży w moim życiu. Nie mogliśmy też przypomnieć sobie o żadnych znajomych, do których można by zadzwonić z prośbą o przenocowanie we francuskiej stolicy. W końcu jednak błysk w oku mojego męża i szybka akcja naszych warszawskich przyjaciół, po godzinie byłam już w przytulnym mieszkanku pani Jadwigi, która ugościwszy mnie pyszną zupą i Żubrówką, pomogła mi internetowo zarezerwować samolot na za dwa dni, po czym zwolniła mnie z towarzyskich obowiązków, wysyłając spać. Obudziłam się po piętnastu godzinach, za oknami sypał śnieg... Coraz bardziej realne stawało się widmo świąt poza domem. Na szczęście jednak następnego dnia rano ruch lotniczy w Paryżu stopniowo wracał do normy. Odleciałam wieczornym samolotem, spóźnionym wprawdzie kilka godzin, ale wreszcie dotarłam do Warszawy. Na lotnisku czekali mimo późnej pory wszyscy troje. Mieliśmy przed sobą całych dziewięć dni.

W domu pachniało upieczonymi piernikami. Ewa wyciągnęła pudełka ciastek na opłatku – bez dodatku mąki, z samych orzechów, tych, które robię od ponad dwudziestu pięciu lat. Pasztet był dopieczony i dobrze przyprawiony. Mnie pozostało przygotować barszcz, śledzie w oliwie, kisiel z żurawin, mak z bakaliami. Po dwu dniach w pokoju między oknami stanęła choinka, jak zawsze do sufitu, jak zawsze pachnąca. Tym razem ubierały ją dziewczynki. Po Wigilii, kiedy już można było wejść do choinkowego pokoju, wyciągaliśmy spod niej prezenty. Tym razem nie podpisałam wierszykiem żadnego z tych, które kupił św. Mikołaj w Tokio czy w Paryżu. Ale za to o żartobliwe rymowanki zadbała młodsza generacja Mikołajów.

Tegoroczne święta były dla mnie wyjątkowo krótkie. Zaraz po Nowym Roku wracam do Tokio. Przyjaciółka obiecała mi wizytę w jednej z shintoistycznych świątyń, dokąd z noworoczną wizytą udają się liczni Japończycy, w tym rodzina cesarska. Będzie więc okazja do poznania jeszcze innych zwyczajów. Jednak taki wielomiesięczny pobyt w obcym kraju sprawia, że dowiadujemy się o nim i jego mieszkańcach znacznie ważniejszych rzeczy, niż gdy w szybkim tempie zwiedzamy i zaliczamy kolejne atrakcje turystyczne. Przedemną jeszcze kilka tygodni w Tokio. Będą wypełnione pracą ze studentami i własnym, teraz już regularnym ćwiczeniem. Po powrocie do kraju wiosna. Zaczynam znów koncerty i ogromnie się na to cieszę. A w najbliższym czasie czekają na mnie „Sayonara parties” – czyli przyjęcia pożegnalne. Z gronem współpracowników, z przyjaciółmi u mnie w domu, ale oni sami wszystko organizują, i wreszcie ze studentami na klasowym koncercie. Mam nadzieję tu jeszcze wrócić.